

Jak to z kanoe było...

Minęło sporo czasu od mojego ostatniego listu. Od stycznia 2003 r. jestem na nowej placówce. Moja baza jest w Timbunke - malowniczo położonej wiosce nad Sepikiem, największą rzeką Papui Nowej Gwinei. Mieszkam w międzynarodowej wspólnocie werbistowskiej - księża z Paragwaju, Polski, Indonezji i seminarzysta z PNG. Obsługujemy 4 parafie, tj. 57 wiosek, z których większość leży nad wodą, a dotarcie do najdalszych to 10-12 godzin w kanoe z silnikiem. Na naszej stacji misyjnej są również Siostry Służebnice Ducha Świętego. Ponieważ jest nas 8 osób, wspólny wyjazd był zawsze problemem: kanoe okazywało się zawsze za małe. Aby dojechać do miasta na spotkania diecezjalne, musieliśmy płynąć ok. 3 godzin w dół rzeki, przeładować bagaże na samochód i poświęcić już „tylko” 2,5 godziny na jazdę autem - o ile nie padał deszcz. Powroty były o wiele gorsze: kanoe załadowane do granic możliwości i my siedzący jak sardynki przez 4-5 godzin w górę rzeki. Ciągłym problemem było też dowieszenie paliwa na stację. Dlatego pod koniec ubiegłego roku postanowiliśmy, że zdecydowanie musimy się postarać o nowe kanoe.

Wstępne ustalenia

Już w grudniu 2005 r. zacząłem wstępne rozmowy ze starszyzną wioski o wdzięcznej nazwie Seven Buk, czyli Siedem Książek. Wbrew moim najgorszym oczekiwaniom wszystko poszło gładko, bo już po godzinie ustaliliśmy, kto da nam drzewo i kto zajmie się wykonaniem kanoe. Pod koniec stycznia 2006 r. wraz z trzema wtajemniczonymi w budowę kanoe wybrałem się do wioski Seven Buk, położonej ok. 5 godzin w górę rzeki od Timbunke. Do wioski dołynęliśmy około południa i po krótkiej rozmowie postanowiliśmy płynąć dalej do tzw. *bush camp*. Nie przemyślałem jednak tej decyzji. Nie spodziewałem się bowiem, że to następne 4 godziny w kanoe w upalnym tropikalnym słońcu, którego promienie jak igły wbijają się w skórę, oraz godzina marszu przez gęsty, wilgotny busz. Dla urozmaicenia po 2 godzinach od opuszczenia wioski spadł ulewny deszcz, co sprawiło, że na miejsce dotarliśmy po zachodzie słońca.

Pierwszy biały człowiek i pierwsza Msza św. w buszu

Ludzie bardzo się ucieszyli z naszego przybycia, po raz pierwszy od stworzenia świata noga białego stanęła na tej ziemi. Tutejsi ludzie, mieszkający daleko od zdobyczy cywilizacji, nie odmierzają upływających dni za pomocą kalendarza. Aby zaznaczyć czas określają, że coś jest przed jakimś wydarzeniem lub po nim - nasz przyjazd stał się właśnie takim wyznacznikiem czasu.

Zamieszkaliśmy w szałasie katechisty. Po wypiciu gorącej herbaty i zjedzeniu kilku placków z mąki sago i *binatang bilong saksak*, czyli pieczonych robaków wielkości kciuka, zaczęliśmy ustalać plan działania na następne dni. Pierwszy krok to znalezienie odpowiednio wielkiego drzewa. Rano grupa ok. 15 osób z siekierami i zapasem jedzenia udała się na poszukiwania. Wrócili tuż przed zachodem słońca, ale wyprawa była bezowocna: ścięli, co prawda, jedno drzewo, ale dopiero po ścięciu okazało się, że jest za małe. Następnego dnia znowu wymarsz. Tym razem okazało się, że ścięte drzewo ma dziurę w środku, czyli znowu nic z tego. Na trzeci dzień - pełny sukces. Jako że była to sobota, mężczyźni wrócili wcześniej, aby odpocząć i przygotować się do niedzieli. W niedzielę celebrowaliśmy Mszę św. w jednym z szałasów, za ołtarz posłużyła walizka - pierwsza Msza w buszu Seven Buk. Ponieważ nie wystarczyło miejsca dla wszystkich, wiele osób siedziało na zewnątrz, nie przejmując się upalnym słońcem.

Wieczorem, już po kolacji, siedzieliśmy w kłębach dymu tytoniowego, żując orzechy betelu i rozmawiając o kanoe. Wtedy jeden ze starszyny powiedział, że obawia się, iż zdarzy się wypadek przy obróbce drzewa, bo każde duże drzewo ma swojego ducha opiekuńczego - *masalai*. Aby go uspokoić, po ścięciu drzewa przy pniu należy złożyć ofiarę z kilku orzechów betelu i drobnych monet. Początkowo miałem opory co do tego, ale zaraz przypomniała mi się nasza trzynastka i czarny kot...

Zmagania z drzewem-olbrzymem

Potem - godzina drogi korytem rzeki i jeszcze pod górę, prawie w pionie, na czterech kończynach i jestem na miejscu. Nie wiem dlaczego, ale ten gatunek drzewa rośnie w bardzo trudno dostępnych miejscach. Drzewo już ścięte, prawdziwy olbrzym: aby objąć pień, potrzeba czterech osób. Praca wre; ok. 20 mężczyzn w tropikalnym słońcu, w towarzystwie nieodłącznych komarów i innego robactwa zaczęło pierwszą obróbkę. Ucieszyłem się niezmiernie, że minęły czasy kamiennej siekiery. Następnego dnia wraz z moją grupą wróciłem do Timbunke. Umówiliśmy się, że po skończeniu pracy prześlą mi wiadomość przez radio. Po trzech tygodniach dostałem wiadomość, że kanoe jest już w wiosce. Dwa tygodnie, od rana do zachodu słońca 20 mężczyzn pracowało nad kanoe. Prawdziwym wyzwaniem było przeciągnięcie kanoe do wioski. Zaangażowano całą wioskę, włącznie z kobietami i dziećmi - wszystkich bez wyjątku. Najpierw trzeba było wykarczować busz i przygotować drogę. Kiedy już przeciągnęli kanoe do brzegu rzeki, wszystko stało się łatwiejsze, choć niestety przez kilka dni nie było deszczu i poziom wody był za niski. Jednak na wszystko jest sposób. Kilkanaście metrów poniżej miejsca, gdzie zwodowano kanoe, wybudowali tamę i gdy podniósł się poziom wody, przeciągnęli kanoe, i znowu dalej poniżej zbudowali następną tamę. Bardzo ciężka praca, zajęło to dziesięć dni, ale w końcu kanoe znalazło się w wiosce.

Transakcja uwieczniona tańcami

Przed przyjazdem do wioski po odbiór kanoe, oprócz ustalonej zapłaty zabrałem ze sobą kilka worków ryżu, duży zapas liści tytoniu i oczywiście gazety (tu najpopularniejsze papierosy to skręty w gazetce). Po przyjeździe do wioski zacząłem rozglądać się za kanoe, ale okazało się, że w nocy był ulewny deszcz i kanoe jest pod wodą. Wieczorem tego dnia położyłem się pod moskitierą. W domu, w którym się zatrzymałem, zebrała się cała starszyna i w pewnym momencie usłyszałem takie słowa: „To jest zwyczaj białego człowieka - przyjechać, zapłacić i odjechać”. Zaciekawiony rozmową, usiadłem ze starszyną i dowiedziałem się, że zwyczaj nowogwinejski jest inny. Nie chodzi bowiem tylko o zapłatę - najważniejsze jest nawiązanie relacji. Każda większa transakcja kończy się wspólnym posiłkiem i tańcami do białego rana. Po chwili namysłu zdecydowałem się opóźnić wyjazd o dzień.

W sobotę wieczorem każda rodzina przygotowała posiłek i cała wioska zebrała się w największym domu wioski. Najpierw przemawiał sołtys, później ja podziękowałem za ich ciężką pracę. Po przemówieniach cała nasza grupa (cztery osoby) musiała wstać, a wtedy jeden ze starszyny podszedł do nas z żywą kurą i tą kurą każdego z osobna trzy razy okrążył - w okolicy kolan, klatki piersiowej i głowy. Po okrążeniu mojej głowy, ku mojemu zaskoczeniu silnym uderzeniem zabił kurę u moich stóp, a w tym samym momencie inna osoba uderzyła w kanoe dużym pniakiem. Potem było wspólne ucztowanie i tańce do samego rana.

Po tym wszystkim zaczęliśmy powolną podróż do Timbunke. Zupełnie nie przewidziałem tego, że nie będzie to 5, ale 10 godzin płynięcia, w związku z tym nie zabrałem nic do jedzenia i picia. Z wodą mniejszy problem, bo można się napić z rzeki, gorzej z jedzeniem. Jednak w połowie drogi

zatrzymaliśmy się w jednej z wiosek i wymieniliśmy gazety na suszone ryby. W ten sposób do Timbunke dotarliśmy tuż przed zachodem słońca.

Chrzcziny „Frani”

Na drugi dzień zwołaliśmy dużą grupę ludzi, aby wyciągnąć kanoe na ląd. Początkowo myślałem, że nowe kanoe jest już gotowe do użytku. Niestety, byłem w błędzie. Przez następne trzy dni ponad 30 mężczyzn musiało pracować nad wykończeniem łodzi. Muszę przyznać, że wykonanie kanoe nie jest proste: mierzenie grubości dna, ścian, oznakowanie miejsc do przycięcia. Na szczęście ludzie z Timbunke są specjalistami. W czasie wykańczania kanoe, ku mojemu zaskoczeniu kilku starszych mężczyzn zrobiło małe ogrodzenie i wewnątrz niego zaczęli grać na bambusowych fletach. Według miejscowych wierzeń, dzieci i kobiety nie mogą widzieć tych „świętych” instrumentów. Po trzech dniach prac wykończeniowych i rzeźbieniu ozdób, kilka następnych dni zajęło nam malowanie. Jednak w sobotę mogłem już poświęcić nowe kanoe. Nadaliśmy mu imię „Frانيا” na pamiątkę młodej siostry ze Słowacji, która zmarła na naszej stacji dwa miesiące wcześniej.

Miejscowym zwyczajem jest, że każda dorosła osoba ma tu dwa imiona, jedno chrzcielne a drugie *tumbuna nem*, czyli imię przodków. W związku z tym w niedzielę po Mszy św. odbyła się ceremonia nadania kanoe miejscowego imienia. Wyznaczony mężczyzna rozbił orzech kokosowy i polewając kanoe wodą z tego orzecha nadał imię. Po tej ceremonii ludzie przystroili kanoe kwiatami i wspólnymi siłami udało się nam je zwodować. I znowu, według miejscowego zwyczaju na pierwszą próbną jazdę, oprócz kierowcy, mnie i werbisty z Indonezji, wsiadło 45 kobiet w tradycyjnych strojach, aby śpiewem i tańcem wyrazić swą radość.

Według miejscowych znawców, kanoe powinno nam służyć przez najbliższe 25 lat. Podróżowanie i przewożenie potrzebnych towarów stało się o wiele łatwiejsze. Jednorazowo jesteśmy w stanie zabrać 14 beczek paliwa o pojemności 200l każda.

O. Adam Sroka, SVD

„Misjonarz”, styczeń 2007.